



# PRACA

Dodatek poświęcony artykułom w sprawach administracyjnych, ekonomicznych, prawnych i społecznych, oraz materiałom spraw tych dotyczącym.

TREŚĆ: Z dni burzliwych w Warszawie (1904 — 1907), przez D-ra K. Niedzielskiego.

## Z DNI BURZLIWYCH W WARSZAWIE.

(1904 — 1907).

Gdy trudno dziś jeszcze przewidywać, jaki wyrok wyda historia w przyszłości o wypadkach w kraju naszym w ostatnich kilku latach, to jednak uznać można za pewnik, że nie odmówi im zabarwienia całkiem swoistego i że wyodrębni rewolucję ostatnią z szeregu przewrotów politycznych. Obfitowała bowiem w szczegóły nieznanne, lub mało praktykowane gdzieindziej. Gdy, wogóle, trudnem jest rozstrzygnięcie sporu, czy historia powtarza się, czy nie, to jednak w tym razie wypadaloby oświadczyć się stanowczo za poglądem przeczącym po uwzględnieniu tego, co się działo, i po ocenie następstw wypadków, jakie miały miejsce. Można uwielbiać lub krytykować wielką rewolucję francuską końca wieku XVIII-go i małą rewolucję roku 1848, można obradujących we Frankfurcie (w maju tegoż roku) mężów zaufania zwać ludźmi w rzeczach praktyki naiwnymi, lecz nawet najzawziętszy zasad oportunistycznych wyznawca przyzna chętnie, iż w tych wielkich dziejowych burzach, czuć było powiew orzeźwiający, a dla zgnębionych stekiem niesprawiedliwości—zapowiedź jutra słonecznego. Tam, sądząc z dzisiejszego oddalenia, walczyło o idee równości i braterstwa dla wszystkich i dążono do wy-

walczenia praw człowieka. Od wypadków r. 1904 i 1905 jesteśmy jeszcze zbyt blisko, żeby można już było ferować wyrok obiektywny a sprawiedliwy. W każdym razie zaznaczyć należy, że było dużo wzajemnego zchydzenia się i obrzucania błotem, dużo materializmu i że to niewątpliwą szkodę „ruchom wolnościowym“ przyniosło.

Niepodobna zaprzeczyć, że na przelomie dwóch stuleci, w przebiegu spraw politycznych nie zbrakło faktów, pouczających wymownie o wielkiej przewadze siły w rozstrzyganiu zawikłań i niezwalczonej cielca złotego potędze. Sromotna przegrana hiszpańskiego hidalgo w walce o Kubę z amerykańskim dorobkiewiczem, tryumf anglików nad bohaterko broniącym niepodległości swej kraikiem burów, porażka bokserów w Chinach, przekonały świat cywilizowany o bankructwie doszczętnem zasad sprawiedliwości. Stwierdzono, niewiadomo już który raz, że opierająca się na potędze materialnej kultura, łanie zapory wszelakie i rycerskość wszelaką; że w zapasach zwycięża przedewszystkiem bogatszy i silniejszy, chociażby dla dyamentów tylko zwalczał wolnych obywateli wolnego kraju. Więc „otrzeźwione“ bezgranicznie umysły w podstawie finansowej, w rublu, widzieć zaczęły wszystko, a jeśli nadmierny ów utylitaryzm pojęć mógł przyczynić się do rozbudzenia w kraju naszym życia przemysłowego w pewnym zakresie, to z drugiej strony w narodzie mało krytycznym, a wrażliwym, zaszczerpił żądę szybkiego zbogacenia się i chęć używania życia bez miary. Podciętej u podstaw dawniejszej religijności narodu nie zdołano zastąpić oświatą, więc skala pojęć etycznych i moralnych musiała obniżyć się znacznie. Bojujący od lat siedemdziesiątych wieku zeszłego pozytywizm warszawski, usunął wprawdzie poezję z życia, wypłoszył z serc nadzieję, z umysłów—wierzenia błogie, lecz niszcząc i działając, wbrew nazwie swej, negacyjnie tylko, nie wypełnił luki, która powstała po zatraceniu ideałów; nie pokrył kraju siecią szkół i nie zaprowadził przymusowego do nich uczęszczania. Gdyby nawet chciał to przeprowadzić, to nie miał ku temu ani środków, ani swobody działania, a to za sprawą wyjątkowych warunków politycznych, w jakich znajdowało się społeczeństwo w ciągu ostatnich lat 40. Kierunek postępowo-materialistyczny burzył, co tylko mógł, tworząc wzamian niewiele. Jeśli pokorę zdeptał i wyszydził, to miłość własną i wysokie mniemanie o sobie wyniósł u przeciętnej jednostki do zenitu. Czas jakiś Warszawa upajała się wprost przeplancowaną z Zachodu ideą „nadczołowieczeństwa“ i w przededniu epoki rewolucyjnej od „nadludzi“ aż trzęsło się u nas. Manja



wielkości, sosem próżniactwa podlewana obficie, obok doszczętnego zdezelowania nerwów na tle negacyi ducha i swoistej o byt walki, były chorobliwym podłożem, z którego osobniki różne i różne typy zwyrodniałe czerpały impuls do czynów w niedalkiej przyszłości.

Więc przedewszystkiem ta cicha niegdyś i dobrotliwie uśmiechnięta Warszawa, zaczęła wyraźnie marszczyć swoje oblicze ku niemałemu tych, co ją znali przedtem, zdziwieniu. Na łamach organów prasy codziennej opisy zabójstw, bójek, awantur i kradzieży zaczęły figurować coraz częściej, urozmaicone i zabarwione w potworne, nieznane przedtem, szczegóły i epizody. Jakgdyby powiew deprawacyi ogólnej przeniósł się nad miastem i na niwie łagodnej natury polskiej posiał ziarna złego i dzikości. Wysłano się na wytłómaczenie przyczyn i wyszukanie źródeł tych zjawisk tyle ujemnych. Obwiniano Zachód o wpływ demoralizujący, oskarżano napływowy z Północy element żydowski, lub ciężką biurokracyi prawicę, przygniatającą kraj od tak dawna. Wszakże zauważyć należy, że na zepsutym Zachodzie Europy są kraje (Dania, Szwajcarya), gdzie gmachy więzienne od czasu do czasu nie funkcjonują wcale z powodu... braku klientów; że, wprawdzie, typ Żyda-asymilatora, co u siebie w pokoju zawieszał na ścianie portret Kościuszki, przeszedł do wspomnień, to jednak zapewne nie wszyscy przestępcy i nie większość ich nawet zaliczała się do wyznawców Mojżesza; że biurokracya-biurokracyą, a przyczyn złego zawsze lepiej jest szukać u siebie. Utrata wiary, nienabywanie wiedzy, czyni zawsze z człowieka, wśród okoliczności sprzyjających, typ z czworonogiem dzikim idący o lepsze. W takiej też metamorfozie właśnie, godnej nowoczesnego Owidyusza lutni, szukać należy, jak sądzę, objawów zdziczenia, które w przeciągu lat ostatnich tak dosadnie zarysowało się na krwawym widnokregu Warszawy.

Z mroku i plugastw ducha spłodzona plaga nożowictwa, była niejako przedsmakiem tego, co mieliśmy oglądać w późniejszych latach anarchii. Prowadząc wykazy statystyczne Stacji Ratunkowej w Warszawie, biorąc w ciągu lat szeregu udział czynny w wyjazdach do wypadków, miałem nieraz sposobność stwierdzać fakt wymowny, jak z roku na rok cyfra „rozpraw nożowych“ w mieście naszym powiększała się bez przerwy, jak z 643 w r. 1903 wzrosła do 743 w roku następnym i do 900 w r. 1905. W tym ostatnim „rewolucya“ w Warszawie wrzała już na dobre, lecz miejsce noży zajęły browningi, przyczem energia bohaterów zajęć w inną skierowała się stronę. Jakoż w r. 1906 stwierdzamy spadek na-

gły w ilości zająć, o których mowa, bo tylko 266 wypadków i 255 w roku zeszłym. Obecnie cyfry rosna znowu, jak to uwidoczni tablica następująca:

### Ilość rozpraw nożowych:

Rok	1903	1904	1905	1906	1907
Styczeń . . . . .	45	48	54	25	18
Luty . . . . .	62	42	58	25	4
Marzec . . . . .	65	37	82	25	15
Kwiecień . . . . .	60	46	70	22	14
Maj . . . . .	41	73	127	28	20
Czerwiec . . . . .	44	63	83	19	32
Lipiec . . . . .	48	72	117	34	30
Sierpień . . . . .	49	59	80	17	27
Wrzesień . . . . .	54	74	47	12	25
Październik . . . . .	61	87	56	8	32
Listopad . . . . .	69	61	64	19	19
Grudzień . . . . .	45	81	62	22	19
Razem . . . . .	643	743	900	256	255
na ogólną ilość wyp. w roku tym	8,424	8,546	8,199	6,594	6,848

Ponieważ wybryki nożowców stanowiły przez czas pewien temat bogaty do omówień w prasie i tworzyły poniekąd wstęp do późniejszego zamętu, wypadnie—dla całości obrazu—nad sprawą tą zatrzymać się nieco i podzielić się z czytelnikiem szeregiem osobistych spostrzeżeń i wrażeń.

A najprzód zauważyć należy, że sprawcy i uczestnicy bójek omawianych należeli i należą wyłącznie niemal do nieoświeconych lub mniej inteligentnych warstw miasta naszego. Rekrutują się z rzeszy wyrobników, robotników fabrycznych, biedniejszych rzemieślników i służby płci obojga, nie mówiąc już o mętach społecznych, reprezentowanych w statystyce nader obficie. W  $\frac{3}{4}$  wypadków chodziło o ludzi młodych, poniżej lat 30 wieku. Plonu najobfitszego dostarczały zawsze niedziele i święta, dni przed i poświęteczne, soboty i poniedziałki. Przez lata całe w dniu owe dyżury lekarzy Pogotowia przebiegały prawie stereotypowo. Obfity po libacyach krwi przelew zaczynał się między godz. 5 a 6 po południu, a kończył o 12-ej lub później po północy. Przez cały ten okres telefon brzęczał, jak najęty, a praca dochodziła do maximum natężenia w ciągu trzech najgorętszych miesięcy: czerwca,



lipca i sierpnia. Były dnię, w których lekarzy dyżurnych Pogotowia zwracano w drodze powrotnej ku stacyi po trzy lub cztery razy z rzędu. Brać hulala zdrowo w niedziele i święta.

19 czerwca r. 1904 zapisano aż 30 wyjazdów do awantur pijackich wyłącznie, przyczem 12 osobników otrzymało rany od noża, a 18 — od narzędzi tępych. W ciągu 5 godzin niespełna—od 7-ej wieczorem do 11 min. 30 w nocy — zanotowano 17 rozpraw krwawych, przyczem, jak zwykle, najczęściej w okolicach Woli.

Ale i inne części miasta, zwłaszcza obfitujące w fabryki i warsztaty, dawały znać o sobie dość często. Ulice: Żelazna, Wronia, Towarowa, Sienna, Okopowa, Powiśle, okolice Powązek (Stawki, Nizka, Parysowska, Dzika), Leszno i t. d. dostarczały materiału stale i w ciągu lat całych, nie licząc poranionych, których opatrywało się w cyrkule.

Czego się nie słyzy i jakich typów się nie widzi przy takiej pracy! Przybywającego z pomocą lekarza ludzie ci, podnieceni wódka, probują nieraz witać jędrnemi słowy, snać w duchu panujących dziś dokoła upodobań realistycznych. Opatrywałem w swoim czasie, w jednej z dzielnic dalszych, dwudziestokilkoletniego mężczyznę z potężną blizną na boku lewym, która pozostała po wygojonej świeżo ranie kłóto-ciętej. Człowiek ów, jak mówiono dokoła, miał już na swem sumieniu kilka rozlewów krwi. Wyli-zawszy się z rany, przepędzał niedzielę w nazbyt wesołej kompanii, która pod koniec zabawy obdarzyła go trzema nowemi pełnię-ciami noża i skradła mu 17 rubli — zarobek tygodniowy. Przy broczącym obficie krwią synu, stał, z miną bezradną, ojciec stary, szlochala matka o twarzy wynędznialej, kręciły się „panny“ jakieś, przyjaciółki rannego. Przekleństw, uwag cynicznych, dowcipów, malujących zezwierzęcenie zupełne — nie powtórzyć słowem drukowanym; niejeden, zresztą, przyjąłby je ze zgrozą i poczytał za wytwór fantazyi.

A oto obrazek drugi.

Na podłodze izby cyrkulowej w malowniczej pozie spoczywa młodzieniec dwudziestoletni, robotnik. Oczy, twarz, włosy złane i zamazane krwią obficie; kołnierzyk, krawat i gors papierowy—purpurowe również. Z mocnych wyziewów wysokoku genezę sprawy poznać odrazu. Z dźwigającymi go pacjent szamocze się z żarcie, wymyśla, wykrzykuje rzeczy cudaczne, poczem zapada w stan rozrzewnienia, czkawkę pijacką i klątwy przerywa płaczem. Nie chciał zapłacić za wypite trunki, poranili go więc i wyrzucili z bawaryi.

W „salonie“ felczerskim siedzi na krześle mularz o spojrze-  
niu srogim. Sześć czy siedm ran ciętych na piersi i plecach,  
nadto pokrajane palce; człowiek ów bronił się gołemi rękoma.  
W tej chwili właśnie wprowadzają do razury schwytanego  
złoczyńcę. Pacjent, nie zważając na krew, na ziejące rany, zry-  
wa się do bicia. Z trudnością udaje się rozłączyć zapaśników.  
Stek obelg z jednej i z drugiej strony krzyżuje się bez przerwy.

Myliłby się ten, coby mniemał, że rany ludzi owych należą  
wogóle do urazów lekkich, że awantura kończy się na pewnym  
krwi upuszczeniu lub szramie od cięcia. Statystyka poucza, że przy-  
najmniej w 35% wypadków chodzi o uszkodzenia poważne, gro-  
żące życiu. W r. 1907 ilość rozpraw nożowych była stosunkowo  
najmniej liczną, a jednak 4 ludzi padło trupem na miejscu od  
pchnięcia w serce. Z innych — część zmarła po niejakiem czasie  
w szpitalu, pewna odsetka, wreszcie, uległa na resztę życia kale-  
ctwu, zwiększając i tak cyfrę olbrzymią żebraków i niedołęgów.  
W r. 1903, a więc w przededniu „rewolucyi“, ran od noża w na-  
stępstwie bójek i napaści było 643; ran zadanych narzędziem tę-  
pem 1,398, potłuczeń skutkiem pobicia 640. Ogółem 2,681. Star-  
czyłoby na niezłą bitwę.

W tak obfitym, a marnym, krwi rozlewie czynniki niezdrowe  
wywierać muszą, oczywiście, wpływ dominujący. Do nich zaliczyć  
należy przede wszystkim swoisty sposób regulowania rachunków  
i wywierania zemsty za „krzywdy osobiste.“ Jeden z typowych  
przejawów takich, otwierający długą następną litanję, miałem  
sposobność stwierdzić znacznie wcześniej, bo już w maju r. 1898.  
Jednemu z majstrów mularskich na Ochocie rozplątano brzuch tak  
srodze, że jelita wypadły na ubranie. Był to akt samosądu za  
niedopłacenie 30 k. za robotę podczas sobotniej wypłaty. Drugi  
wypadek z kategorii tej dotyczył ubogiego szewca z ulicy Freta,  
człowieka budowy wątłej, wzrostu niskiego. Rzemieślnik ów wziął  
do pomocy czeladnika draba, z którym prędko poróżnił się. Przy  
obliczaniu się i kłótni o zapłatę doszło do bójki, podczas której  
czeladnik, korzystając ze swej olbrzymiej przewagi fizycznej, po-  
krywał — w dosłownem brzmieniu tego wyrazu — nieszczęśliwemu  
majstrowi twarz i szyję, wzdłuż, w poprzek i na ukos tak, jak  
dyktowały mu kaprys i fantazyja.

Epizodów tego rodzaju możnaby przytoczyć bardzo wiele,  
a z nich łatwo przekonać się, jak dawno już i na jak długo przed  
okresem bomb i brauningów, starannie przygotowywano w War-  
szawie grunt do teroru ekonomicznego. Na tle alkoholizmu, analfabetyzmu i ateizmu, trzech „a“ kabalistycznych, pod telnieniem



owej trójcy potężnej, człowiek przedzierzgnął się w istotę spłodoną, którą natura dzika pchać musi i pcha do zbrodni.

Olbrzymia większość ludzi tych, tak chciwych „pomsty“ i żywiących uniechę tak wysokie o zadraśniętym honorze, nie unie podpisać się nawet i trzech liter drukowanych razem nie sklei. Jeszcze przed laty kilku w licznych peregrynacjach swych po mieszkaniach nożowców, nie spotykałem książki lub gazety na stole, nie ujrzałem ani razu bodaj małej półeczki na książki na ścianie. Po zaspokojeniu najwyczerpanych potrzeb i popędów fizycznych, po za spędzaniem chwil wolnych w piwiarni, w otoczeniu dobranem, osobnik taki nie zna nic, nie pragnie nic więcej. W ostatnich czasach analfabetyzm zmniejszył się o procentowy ułamek jakiś i popęd do lektury wzrasta; dotąd, wszelako, ogranicza się wyłącznie niemal do zgłębiania przygód Sherlock-Holmes'a, broszur o zloczeniach pfciovych, oraz do oglądania straszności w pisemkach-efemerydach brukowych. To wystarcza i zaspakaja obficie potrzeby duchowe tej sfery. O umysłowej rozkoszy, co płynie z ciekawej, a pożytecznej książki, ludzie, o których mowa, nie mają pojęcia. A nie są to bynajmniej nędzarze. Większość ma zarobki, do których nadaremnie wzdycha niejeden inteligent. Garbarz, ślusarz fabryczny, czeladnik stolarski i t. p. ma nieraz po 60 i więcej rubli miesięcznie, przyczem niejeden z nich jest kawalerem, a zresztą, obowiązków żadnych nie uznaje z zasady. Proszę spojrzeć tylko, jak mieszka proletaryusz taki. Odnajmuje kąć gdzieś w suterenie lub na strychu za 2 rb. miesięcznie. Reszta zarobku idzie na udawanie „burżuja“ na ulicy, którego niby nienawidzi, ale którego stara się naśladować po swojemu wszędzie i we wszystkim. Rzecz prosta, najgłupsze marnowanie grosza odgrywa w owym naśladownictwie rolę pierwszorzędną, co nie przeszkadza wszakże, by z ludzi tego pokroju nie wychodzili niekiedy działacze społeczni, popychający ludzkość ku reformom „zdrowo pojętym,“ oraz wymierzający sprawiedliwość doraźną oponentom tych reform.

Zbytkom nożowców miasto czas jakiś przyglądało się w milczeniu, zaniepokojone i bezradne, jakgdyby zahypnotyzowane widokiem bezceństw; gdy jednak coraz więcej krwi ludzkiej lało się tak głupio, a ilość walk na noże dochodziła do 60 i więcej na miesiąc, uderzono na alarm i przemówiła prasa. U schyłku roku 1903 i w r. 1904 awantury nożowców warszawskich były tematem częstym do skarg, nawoływań i uwag. W Kuryerach: „Warszawskim“ i „Codziennym,“ w „Głosie,“ w „Słowie,“ w „Dzienniku dla Wszystkich“ i t. d. wydrukowano szereg artykułów, w których

publicyści zaznaczali mniej lub więcej wymownie zgubną klęskę nożownictwa doniosłość i groźne tegoż postępy, przyczem omawiano dużo projektów, zmierzających ku zaradzeniu złemu. Naogół przeważały zdania o konieczności użycia środków represyjnych, więc kar surowszych, pomnożenia posterunków policyjnych i t. p.

Nie ulega wątpliwości najmniejszej, że wszelakie administracyjne zabiegi karne przerażają bardzo—tych zwłaszcza, co, wogóle, kar się boją. Wypadki doby późniejszej pouczyły jednak, że twórcy projektów na krótką metę, w rachubach swoich mylili się wielce. Kary obostrzono, lecz bójki na noże toczyły się w dalszym ciągu. Stopniowo, ze sfery waśni osobistych, bądź partyjnych, nóż wkroczył na szersze akcyi widnokreśli; zaczęto bowiem informować o napaściach z „majehrem“ w rękę, w celach rabunku, lub wiążących się z polityką. Pierwsze zainaugurował dokonany w Warszawie w dzień biały napad bandycki na sklep (Obozowa 3) i poranienie 18-letniej sklepowej w d. 17 lutego r. 1904; drugie — zamach na stójkowego na ulicy Wolskiej 47. Nożowcy warszawscy surowości prawa nie ulękli się. I nic dziwnego. Różgi z zakresu pedagogii usunięto przecie oddawna, a jeśli środek ten uznano za niedostateczny i bezcelowy w kierowaniu serc młodocianych i napędzeniu stracha delikatnej skórcie dziecięcej, to jakże tu trafić niemi do gruboskórnego, dwudziestokilkoletniego „sztrabancla?“ Zresztą, kto nie zawaha się dobyć noża wśród ożywionej tylko wymiany zdań, ten napewno i kryminału nie bardzo się zleknie. Toć nawet i kara śmierci nie powstrzymuje zbója od spełnienia zbrodni, lecz powstrzymałoby go może wpajanie od dzieciństwa poglądu, że zabijanie jest występkiem, niegodnym człowieka. Tylko w uszlachetnieniu duszy i umysłu leży zbawienie, a choć praca to zmuśna i długa i z pozoru niewdzięczna, pomyślny plon wydać musi w przyszłości.

Dopóki na ulicach i placach wałęsają się tysiące pozbawionych światła i zajęcia wyrostków, tysiące adeptów noża i pałki, dopóki indywidua te, cheiwe bezpłatnych wrażeń, prześladowają błędzącego samopas waryata, katują zwierzęta, wyciem i kocią muzyką żegnają karetkę Pogotowia, a nikt nie pouczy zgrai tej o całym bezwstydzie tych wybuchów dzikich, lecz, przeciwnie, wielu uśmiecha się i cieszy, że młodzież nasza ma temperament jeszcze, dotąd noże, browningi i bomby zagrażać będą stale życiu kulturalnemu. Nie batem, lecz oświatą i umacnianiem zasad religijnych urabia się godność charakteru i ambicję. Rozwiązania kwestyi nożowców i zbrodniarzy wogóle nie w więzieniu szukać wy-



padnie lub deportacyi, lecz w jaknajwiększej ilości bezpłatnych szkół i szkółek. W duchu tym wyrażałem się nieraz na łamach prasy przed „rewolucją“ jeszcze, a więc przed wybuchem t. zw. „ruchu wolnościowego.“

Tymczasem zbliżały się wypadki wagi pierwszorzędnej z wojną japońską na czele, której początek obwieścił światu huk dział w zatoce Port-Artura w nocy z 6 na 7 lutego 1904 roku. Wraz z szeregiem klęsk oręża rosyjskiego wrzenie w Imperium rosło coraz potężniej. W ruchu ogólnym wzięło udział i Królestwo, uginające się pod brzemieniem ciągłych od lat 40 ustaw wyjątkowych. Rewolucya rozpoczęła się w postaci dziwacznej, jakiej świat pono nigdy nie oglądał przedtem—*révolution moderne* w całym słowa znaczeniu.

Nie mam zamiaru opisywać tu przebiegu dziejów krwawych od wiosny roku 1904, które, jak mniemam, jeszcze się dotąd nie skończyły. Wypadki, zresztą, każdy ma świeżo w pamięci, a na ich ocenę, z punktu widzenia historyi, nie pora jeszcze. Notatki swe ograniczam wyłącznie do Warszawy, przyczem uważam za właściwe gdzieś wzmiankować obszerniej nieco o faktach, ściśle wiążących się z interwencją personelu tutejszej Stacji Rantkowej, do którego należą. Materiał cyfrowy opieram na wykazach statystycznych Pogotowia, oraz na danych kroniki wypadków, którą z organów prasy codziennej notowałem zawsze z dnia na dzień. Tu wspomnę tylko, że rewolucya ostatnia czyniła na mnie stale wrażenie zacieklej walki wszystkich przeciw wszystkim, po za tem — osobliwszych w swoim rodzaju miotań się, do jakich wielką okazuje skłonność przeczulony człowiek współczesny. Pierwiastek materialistyczny nad duchowym przeważał tu wybitnie; przed własnością prywatną rewolucya nie cofnęła się i na porządek dzienny wniosła ekspropriację. Stąd, wśród warunków sprzyjających, do bandytyzmu najpospolitszego w świecie — krok tylko jeden. Czy wywłaszczeń dokonywano w myśl hasel socjalistycznych, czy też pod wpływem innej jakiej aberracji mózgowej, nie chcę przesądzać; mniemam zresztą, że na wynik faktyczny pobudki zbrodni i napadów nie oddziaływały zbyt wiele. Nie wiem również, czy słusznie mawiano nieraz, że ruchem kierują socjaliści niemieccy, którzy wybrali sobie Rosję i Polskę za teren do akcyi próbnej, by doświadczenie, na cudzej zdobyte skórze, snadniej stosować w przyszłości u siebie w Niemczech. Tak czy owak, to pewna, iż część osób, agitujących u nas zajadłe, słabo władała językiem polskim i że krzewienie idei międzynarodowki oparto prawie wyłącznie na terrorze. Zapominano

jednak o tem najzupełniej, że jeżeli terror, stosowany dawniej przez tyranów, chybiał celu i, na ogół, nie podobał się, to nikłą również posiada wartość terror, który niosą w darze bojownicy o wolność (?!). Zapominano i o tem jeszcze, że ludzie nie są trzodą, dzisiejsi zwłaszcza, i że browningiem nawet do kupy zaganiać się nie dadzą, wreszcie, że co było możliwe kiedyś, to dzisiaj — w XX wieku ery chrześcijańskiej — wydaje się mniej właściwem.

\*

\*

\*

W lutym r. 1904 zaszedł wypadek dość niezwykły, przedstawiający sprężystość organów bezpieczeństwa publicznego w świetle ujemnem. Indywiduum niespełna rozumu urządziło sobie z balkonu mieszkania (w stronach ulicy Marszałkowskiej) polowanie na... ludzi i w ciągu nocy całej stawiało opór skuteczny oblegającej go poważnej sile zbrojnej. Szalencie postrzelił 24 osoby, w tem 4 na śmierć, ustawieni zaś w oknach posesyi vis-à-vis „najlepsi strzelcy“ nie mogli trafić do waryata. Obezwładnił go wreszcie celnym strzałem jeden z widzów tej niezwyklej przygody, człowiek prywatny, za co, rzekłszy nawiasem, liczni ciskali weń gromem potępienia.

Wypadek powyższy, prócz wzbudzenia sensacyi powszechnej, nasuwał wnioski, które, jak mniemam, cisnęły się do głowy niejednemu. Przekonano się bowiem, że jeden strzelec dobry, zaopatrzone w amunicyę, potrafi stawić czoło nawet wojsku i trzymać je w szachu przez godzin szereg. To też tego rodzaju walki jednego przeciw wielu powtarzały się później w okresie anarchii i słyszeliśmy o faktach, gdzie dla odniesienia nad złoczyńcą zwycięstwa sprowadzano — armaty.

Dalej stwierdzono, że żołnierz, na ogół, źle strzela, a organy policyi, w razie niespodziewanego ze strony przeciwnika oporu, tracą głowę zbyt szybko. Refleksyie te miały niewątpliwie wagę niejaka w przededniu wybuchu rewolucyi i dla tego epizodycznemu zajęciu temu uznałem za właściwe poświęcić tu słów kilka.

\*

\*

\*



W d. 27 kwietnia 1904 r. po 4-ej po południu pojechałem karetą Pogotowia wraz z kolegą dr. Małkowskim na ulicę Dworską № 6, dokąd wzywano do ludzi, ciężko postrzelonych. W mieszkaniu szewca, w jednym z budynków podwórzowych rozległej posesyi drewnianej, policya dokonywała rewizyi, ktoś bowiem zadenuncyował, że w miejscu tem drukuje się odezwy na obchód 1-go maja. Zaskoczeni bronili się i powitali wkraczających funkcyjaryuszów policyi strzałami z rewolwerów, od których żandarm Wińczuk padł trupem na miejscu, a za nim zwałił się pomocnik komisarza. Wśród stosów zadrukowanej bibuły leżał trup jego z niedopaloną papierosem w zaciśniętej kuczowo dłoni. Nieboszczyk śnać z ewentualnością oporu nie liczył się i szedł na pewniaka. Postrzelony w czaszkę i własną podobno szablą w szyję ranny, 50-letni sztabs-kapitan Ordanowski zmarł niebawem w szpitalu św. Ducha, a również i odwieziony tam strażnik ziemski. Po za tem ułokowano w szpitalu 2-eh stójkowych, poranionych ciężko. Ogółem—ofiar 6 po stronie policyi wyłącznie. Głównego sprawcę strzałów schwytano; drugi, jak mówiono, uciekł przez okno.

Wstrząśnienie pośród przedstawicieli władz było tak wielkie, że jeden z oficerów żandarmeryi, na widok trupów i ran krwawiących obficie, dostał ataku nerwowego. Nieogłędność i łatwe tracenie głowy manifestowały się wyraźnie. Nad incydementem powyższym zatrzymałem się nieco, gdyż był pierwszym z długiego szeregu późniejszych i faktycznie otwierał okres wrzenia.

Zapowiadana na 1-go maja manifestacya polityczna na skalę większą nie doszła do skutku, gdyż, krom wypadków pojedynczych, zajścia poważniejszego nie zanotowano nigdzie niemal. Około godz. 7 wieczorem w Alejach Ujazdowskich, gdzie kozacy rozpędzali publiczność, stoczono utarczkę niewielką. Wogóle w ciągu dnia całego, ofiar rozruchów opatrzone 13, w tem 2 stójkowych. Szwanki nie należały do cięższych. Natomiast 3-ci maj przeszedł w ciszy, niezamąconej zupełnie i łatwo stąd można się było domyślać, że wcale nie o narodowe pamiątki chodzi tłumom manifestującym po ulicach.

Zajścia pomniejszych podaję w tablicy poniższej:

#### Wypadki zbiorowe w Warszawie:

1. d. 27/IV. Wykrycie drukarni tajnej i strzały do funkcyjaryuszów policyi przy ul. Dworskiej № 6. Ofiar 6, w tem zabitych 4.

2. d. 1/V. Manifestacye w Alejach Ujazdowskich. Ofiar 7.
  3. „ 8/V. Bójka przy ul. Litewskiej z żołnierzami. Ofiar 7.
  4. „ 13/VI. Starcie z wojskiem i salwy kozaków do tłumu podczas gaszenia pożaru przy ul. Grzybowskiej. Ofiar 18 (zabitych 1).
  5. „ 23/VI. Bójka z policją podczas obchodu „wianków.“ Ofiar 4.
  6. „ 20/X. Zbiegowisko przy ul. Karmelickiej i starcie z policją i kozakami. Ofiar 13.
  7. „ 13/XI. Manifestacye przed kościołem Wszystkich Świętych i salwy piechoty. Ofiar 41 (zabitych 11).
- Ogółem ofiar zająć masowych 96.  
 Ze strony osób cywilnych 67.  
 Ze strony władz polic.-wojsk. 29.  
 Zabitych na miejscu 16.

Nie analizując bliżej tych szczegółów, wspomnę jedynie o starciu w dniu 13 czerwca.

O 9-ej wieczorem wybuchł pożar przy ul. Grzybowskiej № 77 w składach Spiess'a, podobno z podpalenia. Z tej przyczyny na ulicach zebrały się tłumy, przeważnie z mętów społecznych złożone. „Publiczność“ obrzucała kamieniami gaszących ogień strażaków, biła stójkowych, tłukła latarnie uliczne, obrzucała wynyskami zajętych opatrywaniem rannych lekarzy, wybijała szyby w karetach Pogotowia i, wogóle, zachowywała się tak, jakgdyby nie życzyła sobie wcale opanowania ognia; w końcu, doczekała się salwy ze strony zawezwanych na pomoc kozaków, poczem gromady wyrostków uciekły z placu spiesznie. Ofiarą starć padło tu osób 18, t. j. 10 cywilnych (1 zabity na miejscu) oraz 8 wojskowych, zranionych kamieniami przeważnie. Cyfry powyższe dotyczą tylko ludzi, opatrzonych przez Pogotowie, lecz zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że rannych było więcej. Pożar i akcja ratunkowa skończyły się po północy.

A bandytyzm warszawski tymczasem dawał znać o sobie coraz wyraźniej; 15 czerwca, w biały dzień, o 2 po południu uległ napadowi przed drzwiami własnego mieszkania (przy ul. Kościelnej) inkasent, w skroń postrzelony. I coraz jaskrawiej zarysowywał się fakt, niepożądany wielce, że wraz z energicznymi ruchami wolnościowego objawami najbrudniejsza anarchia szerzy się i nawoływania rzeczników nowej ery zagłusza wrzaskiem i skowytami żądź rozłukanych. Wśród żywiołów, więcej zrównoważonych, sądzono zrazu, że są to nieodłączne od każdej rewolucji wybryki czerni dzikiej, Lumpen-Proletaryatu i że zgnilizną tę zobojętni



niebawem ożywczy duch nowego, tym razem zdrowego już ustroju społeczno-politycznego. Wypadki przekonały wkrótce, że rozumowania takie nie odpowiadają rzeczywistości, że dzieje się coś, dla czego próżno byłoby szukać pierwowzorów w przeszłości, że „kurs nowy“ z przeszłością zerwał na dobre, darzyć chce swoją całkiem kulturą i nie troszczy się, czy ona nadaje się do upodobań większości narodu.

Wypadki i zajścia mniej ważne zanotowałem w powyższej tablicy, zaś o wielkiej manifestacyi, urządzonej 13-go listopada 1904 roku na Placu Grzybowskim, po nabożeństwie w kościele Wszystkich Świętych, wspomnieć należy bodaj pobieżnie. Manifestacyę tę urządzało jedno ze stronnictw skrajnych celem wyrażenia protestu wobec poboru zapasowych na wojnę z Japonią. O zamiarze urządzenia pochodu policya dowiedziała się jednak dość wcześnie i w znacznej liczbie stanęła na placu przed świątynią, rewidowała wychodzących z niej, bądź aresztowała niektórych. Gdy w tłumie publiczności wywieszono czerwony sztandar i z rewidowanych niektórzy stawili opór, powstała utarczka krótka, choć zażarta, w przebiegu której 3 funkcyonaryuszów policyi otrzymało rany postrzałowe z rewolwerów (jeden — śmiertelną), a z publiczności 4 osoby odniosło szwanki od kul i szabel. Na pomoc stójkowym i żandarmom przybyło wojsko i huzarzy. Zagrzmiały salwy, pałasze zaczęły żniwo krwawe.

Była godzina 2 po południu. W pół godziny potem na miejscu katastrofy stanęły ambulanse Pogotowia; jak dziś, mam przed oczyma: gęste od ul. Granicznej patrole, zatrzymujące ruch pieszy i kołowy, zamknięte wszędzie sklepy, przed uchylonami zlekka bramami domów — tłumy widzów z ludności izraelskiej przeważnie się składające, na opróżnionym z publiczności placu, bokiem do kościoła szwadron huzarów z obnażonemi szablami w szyku bojowym, twarzą do kościoła — piechota, w przerwach — stójkowi i żandarmi, na stopniach kościelnych i na placu przed kościołem — tłum osób prywatnych, którym odcięto drogę powrotną do miasta. Ofiary starcia opatrywano na ulicach: Królewskiej, Granicznej, Zielnej, Grzybowie, Wielkiej, Siemnej, Maryańskiej, Pańskiej, Twardej i w kancelaryi cyrkułu VIII-go. W razurze (Wielka 47) ujrzałem, między innemi, obraz następujący: w pracowni i pokoju mieszkalnym zbiorowisko tłoczących się ludzi krzyczy i lamentuje w niebogłoso, na schodkach proggu, pomiędzy ubikacyą pierwszą a drugą leży trup wysokiego dwudziestokilkoletniego mężczyzny, z wyglądu robotnika, ubranego odświętnie (była to niedziela) z postrzałem w okolicy serca od kuli

karabinowej. W izbie drugiej leżał na podłodze i krzyczał z bólu 30-letni mężczyzna, postrzelony w udo i dłoń prawą, opodal 17-letni młodzieniec ze strzaskaną gołenią lewą. Ponieważ wojsko strzelało z blizka, rany miały wygląd potworny, jaki w kampaniach nowoczesnych nie często się widzi. Rany te zaliczyćby wypadało raczej do miażdżono-szarpanych urazów. Na pierwszy rzut oka możnaby sądzić, że rany owe zadano obuchem siekiery, ostrym młotem żelaznym, lub innem tego rodzaju narzędziem; że zaś broczyły obficie, tworząc kałuże krwi dokoła, zbyteczne dodawać.

Mozolna praca chirurgów trwała do godz. 5½ po południu, przyczem naliczono ofiar ogółem 41. Ze strony osób cywilnych 10 znalazło śmierć na miejscu, a 23 otrzymało rany; zaś po stronie policji było 7-iu ranionych i jeden zabity. Wieczorem na obryzganym krwią ulicach zapanowała cisza. Ale natomiast zaczęła się orgia walk nożowych, która z małemi przerwami trwała do godz. 4-ej z rana.

Zajść poważniejszych do końca r. 1904 nie było.

W mniemaniu, że dla przyszłego pisarza dziejów rewolucji ostatniej wszelkie dane statystyczne z okresu walk posiadać mogą wartość niejaka, cyfry odnośne zestawiam poniżej w miejscu właściwem; tu zaznaczę tylko, że w roku tym liczba ofiar wypadków o podłożu politycznem dosięgła 279, a napadów bandyckich naliczono 54. Z końcem r. 1904 zaczęły się też na dobre postrzały z nieznanym dotąd w Warszawie rewolwerów systemu Browning'a, które potem tak doniosłą odegrały rolę w oryginalnem bardzo regulowaniu nieporozumień osobistych i zatargów treści społeczno-ekonomicznej. Odczuwano powszechnie, że burza się zbiera. Niepewny dotąd wynik zapasów, staczanych w Mandżuryi, trzymał jeszcze nawałnicę na uwięzi.

Tak minął zakończony ciszą względną rok wstępny okresu przelomowego.

## Rok 1905.

Wnet po kapitulacyi Port-Artura i niepomysłnej dla Rosyan (gen. Griepenberga) bitwie pod Sandepu w styczniu r. 1905, wrzenie wewnątrz Imperyum wzmogło się znacznie. W stolicach i miastach większych na skutek strajków, mnożących się bez liku, tłumy ludności zostały bez zajęcia, a wielu ludzi bez chleba. Ci stanowili, oczywiście, grunt najpodatniejszy do sypanego dłońmi hoj-



ną przez agitatorów zasiewu. Instynkty niskie znalazły ujście swe w krwawych bójkach i demonstracjach ulicznych, fale pijanego uludą wolności entuzjazmu — w zamachach i rzucaniu bomb na przedstawicieli ustroju biurokratycznego, znienawidzonego powszechnie. W masowym ruchu Rosyi przyjęło udział skwapliwy i Królestwo z Warszawą na czele i, w pierwszych chwilach przynajmniej, szło ślepo za komendą z Moskwy, bądź z Petersburga; co gorsza, że w działaniach przyjęto taktykę, niczem się od rosyjskiej nie różniącą.

Nie mam zamiaru zastanawiać się nad psychologią, a raczej psychopatyą rewolucyi, będącej wyłącznie niemal następstwem przegranej z Japończykami wojny; zadanie takie przerasta zamiary, a głównie — wymiary zaofiarowanego mi w druku miejsca. Wspomnę tylko, że trudno nie zgodzić się, po tem, co widzieliśmy zwłaszcza, z poglądem wielu autorów, którzy pomawiają naród rosyjski o niekulturalność i zwyrodnienie. Skąd zestawienie takie możliwem stało się dla kraju, o którym mowa, orzec trudno. Historia uczy, że degeneracya nawiedza ludy przycwilizowane tylko. W warunkach owych o naprawie i uzdrowotnieniu ustroju społeczno-państwowego, zwłaszcza o naprawie szybkiej, prawie może, jak mniemam, człowiek naiwny, zły lub nieszczerzy. Bo czyż podobna wytrząsnąć, jak z rękawa, mężów zaufania, zdolnych reformatorów, ludzi gotowych do prawdziwego, a rozumnego dla sprawy poświęcenia się? W szeregach rewolucyi nie widzieliśmy ludzi takich, a jeśli byli, to chyba w liczbie bardzo ograniczonej, gdyż inaczej ruch cały nie poniósłby klęski.

Ale i o żywiołach umiarkowanych i lojalnych nie wiele co więcej zanotować wypadnie, inaczej prasa rosyjska nie narzekałaby bez przerwy, że w Rosyi „ludzi brak,“ ludzi, co zdrową krew i tchnienie ożywcze ciężko doświadczonemu krajowi przynieśliby w darze. Gdy ludzi tych nie można znaleźć w miastach, nie znajdzie się ich również i na wsi, bo chłopu ruskiego z francuskim lub niemieckim i z polskim nawet porównać niepodobna. Wskutek złej gospodarki i wynikających zeń lat głodowych, rosyjski lud wieśniaczy upada fizycznie i duchowo. Wiecznie z głodem borykający się, nietrzeźwy, bo w wódce szuka zapomnienia, chłop biedny i kulturalnie stojący bardzo nisko, nie ma tych celów, ni ideałów politycznych, które chcą wmówić w niego teoretycy, politykująca młodzież i obojętni na głos rzeczywistości menerzy partyjni. Co mu po konstytucyi, co mu po parlamentach, co go obchodzić może walka idei monarchicznej z demagogią, gdy mu się przedewszystkiem jeść chce? Dążnością jego jedyną jest pozyska-

nie lepszych warunków materyalnych, te bowiem, w których żyje, nie chronią go od nędzy, po za tem machinacje polityczne, czy socyalistyczne, są dlań obce zupełnie. Że na podłożu takim poczęty ruch „wolnościowy“ nie mógł posiadać, wbrew przechwałkom strony interesowanej, wielkich szans powodzenia, rozumiały od początku umysły zrównoważone i podkreślały bezzasadność zupełną ścisłego kojarzenia się z ruchem tym szerszych warstw narodu polskiego.

Jak zwykle, a u nas zawsze prawie, głosy rozważli ginęły w harmiderze i wrzasku roznamiętnionej większości, która myśl zsolidaryzowania się prądów rewolucyjnych w Królestwie i Cesarstwie uważała za kombinację arecytrafną i pomyślaną szczęśliwie. Strajki rosyjskie poparto strajkami polskimi, a te ostatnie w zjadłości swej i cyfrze względnej przewyższyły nawet źródło pierwotne, stanowią bowiem 25% ilości ogólnej wypadków bezrobocia w r. 1905 w całym państwie. Owa pochopność do naśladowania na ślepo stosowanych na północo-wschodzie środków i zabiegów, uwydatniła się najwięcej w okresie strajków politycznych, z których pierwszy oglądaliśmy w mieście naszym w ostatnich dniach stycznia roku, o którym mowa.

(D. n.).

DR. K. NIEDZIELSKI.

---

Redaktor odpowiedzialny i wydawca ADAM hr. KRASIŃSKI.

---